



KAZIMIERZ MORAWSKI

JULIAN APOSTATA

Kazimierz Morawski

JULIAN APOSTATA

Armoryka
Sandomierz 2019

[Kup książkę](#)

Projekt okładki: Juliusz Susak

Copyright © 2019 by Wydawnictwo Armoryka

Wydawnictwo ARMORYKA
ul. Krucza 16
27-600 Sandomierz
<http://www.armoryka.pl/>

ISBN 978-83-8064-710-7

[Kup książkę](#)

KAZIMIERZ MORAWSKI

JULIAN APOSTATA



W KRAKOWIE,
CZCIONKAMI Drukarni „CZASU”
1901.



POPIERSIE JULIANA APOSTATY

na szczycie katedry św. Juliana w Acerenzy w Kalabryi.

Julian, zwany Apostatą, dzielił za życia ludzkość, po śmierci piszących i badaczy na dwa przeciwne obozy, które zwalczały się z największą namiętnością, popierały i sławiły jego zamiary lub opierały się im stanowczo, staczały z sobą zapasy o jego sławę lub niesławę. Z jednej strony stał obóz chrześcijański, upatrywujący w nim wroga, który bieg i rozwój prawdy i historii gwałtownie chciał cofnąć i powstrzymać— z drugiej strony poganie i nowo-poganie, którzy albo umiłowali piękność bogów Grecyi, lub lubowali sobie w tęsknocie za bogami Hellady. I w tym drugim obozie znaleźli się poeci, starożytni i nowożytni, marzący i mającający o utraconym raju ludzkości, w którym panowało piękno nad światem czy wyobraźnią, aż wreszcie prysło pod wrotem Jehowy i chrześcijańskiej nauki.

Uwaga. Zamieszczamy przy tym szkicu dwie podobizny cesarza, jedną z kościoła katedralnego w Acerenza. Lenormant, a po nim Salomon Reinach uznali ją za popiersie Apostaty. Gdyby to było zupełnie pewnem, musielibyśmy przyjąć, że twórca tej rzeźby uszlachetnił i wyidealizował wygląd rzymskiego cesarza. Mówi o tem popiersiu obszerniej najnowszy historyk Juliana Gaetano Negri w dziele: *L'imperatore Giuliano* (Milano, 1901). Drugie popiersie, grubej roboty i pospolite, znajduje się w Muzeum Torlonia w Rzymie. — Literaturę nowszą i starszą o Julianie uwzględniłem w tej rozprawie. Z nowszych dzieł dużo rysów ciekawych dla epoki przyniosła monumentalna praca Cumont'a: *Textes et monuments figures relatifs aux mystères de Mithra*. (Bruxelles, 1896 i 1899).

Paweł Heyse powiedział w jednej ze swoich opowieści, że niema młodego poety, któryby nie marzył przez chwilę o pieśni na cześć Juliana. Snuje się ta myśl i snuła po wielu głowach i sercach; w Niemczech zaprzętała ona długo Schillera, a znalazła ostatecznie tylko wyraz w krótkim wierszu, przesiąkniętym tęsknotą za bogami Grecyi; odpadki tych marzeń dostały się prócz tego do wielkiej trylogii *Wallensteina*. Za to wielki poeta skandynawski, Ibsen, wyśpiewał o Apostacie dramat w dwóch częściach, pełen nauki, cisnących się pod pióro antytez i siły. U nas błakał się ten przedmiot po głowie Sienkiewicza, a młodzieńczy Asnyk napisał krótki wiersz o dawnym rzymskim cesarzu.

My z tego życiowego dramatu bogów i ludzi innego dramatu wysnuć nie myślimy, lecz przypatrzeć się światu i sprawie, za którą ten sługa bogów greckich walczył i samej postaci ich obrońcy. Wśród sprzecznych zdań namiętnych wrogów i wielbicieli, trzeba się nam będzie przedrzeć do jądra prawdy i rdzenia duszy bohatera i zbadać, czy on walczył za życie, czy też za trupa, jak ci bohaterowie Homera, którzy pod Troją połowę prawie czasu poświęcają walce o ciała poległych towarzyszków.

I.

Zanim jednak zbliżymy się do osoby rzymskiego cesarza, aby wysłuchać tętna jego serca i myśli, należy się nam zapoznać z epoką i tłem, na którym jego postać się rysuje, bo tylko tak ocenić możemy, co było w nim osobistem, znamiennem, czy on był przesłańcem przyszłości, czy tylko dzieckiem swego wieku i otoczenia, czy wreszcie widmem przeszłości.

Cesarstwo rzymskie, rozciągające się od Szkocyi do Sahary, od Hiszpanii i Gibraltaru do Dunaju na północ i do Eufratu na wschodzie, największy twór państwowy historyi i największy konglomerat ziem i narodów, jednemu ulegających berłu, wykazywało w IV wieku już pełno rysów i niedostatków, świadczących, że organizm zaczyna się psować, ten organizm, który przedewszystkiem pod brzemieniem własnego ogromu giął się i trzęszczał. Są |w historyi wieki szczęśliwe i wieki chude, pełne grozy i mizeryi. Wiek II po Chrystusie był stuleciem szczęśliwem cesarstwa. Pod berłem takich władców, jak Trajan, Hadryan, Antoninus Pius i Marek Aureli, którzy albo wskrzeszali coś z starorzymskiego hartu, albo przejęci pełnią cywilizacyi rzymsko-hellenickiej, rozumną dłońią kierowali nawą wielkiego imperyum, wszystko zdawało się zakwitać, wzrastał dobrobyt ogólny niepomrotnie, wszystko, co posiadało w świecie cywilizacyę, oddychało swobodnie pod rządem jednego władcy, który, jak Zeus w nadziemiach, zdawał się panować samowładnie nad tem imperyum, obejmującym cały zachód rzymski lub zromanizowany i cały wschód hellenicki lub przesiąknięty grecką

kulturą. Ale za Marka Aureliusza, który musiał w drugiej połowie tego stulecia długie walki prowadzić nad Dunajem, już się przekonano, że granice tego państwa nie są jeszcze granicami świata, że po za nimi żyje, drzemie i budzi się świat inny, świat barbarzyńców, który kiedyś może przełamać obręcz imperium rzymskiego, a kiedyś może i zmiażdżyć błogość i błogosławieństwo tej cywilizacji, w której ludność cesarstwa płużyła sobie i rozkoszowała. Trzeci wiek już cały zapełniony loskotem tych obręczy, które pękają i łamią się na wsze strony od ludów napierających na cesarstwo, zarówno od strony Renu, jak od strony Dunaju i Eufratu. Czyż jeden władca miał sprostać tym wszystkim niebezpieczeństwom i zadaniom i z jednego miasta, rozsiadłego na siedmiu pagórkach, potężna i wyciągnięta ręka mogła zażegnawać odległe burze, gromadzące się na krańcach cesarstwa? Centralizacya dotychczasowa w III wieku zaczyna skrzypieć i niedomagać, a organizm, zbudowany misterną ręką artysty politycznego, jakim był August, niedopisując wśród nowych warunków i położenia. Ciężkość polityczna i potęga rzymska zesła wtedy z siedmiu pagórków do obozów rzymskich, rozłożonych nad Renem, Dunajem, Eufratem; one to poznały, że są rzeczywistą siłą, że w ich ręku są losy państwa, a co więcej, losy rządców tego świata, odsłoniła się wtedy w całej pełni tajemnica cesarstwa, *arcanum imperii*, a wojskom zarazem świadomość, że mogą walić i tworzyć imperatorów. Wiek III jest stargany temi zamieszkami uzurpatorów, wynoszonych przez wojska na tron i trony cesarskie. Co chwilę dowiadywał się Rzym, że armia zachodnia, północna czy wschodnia obwołała jakiego generała imperatorem, wobec niego stawał niebawem inny uzurpator, bojący się o życie własne lub majątek i wśród tego rozpasania i orgii uzurpatorów, którzy jeden po drugim przechodzili jak krwawe cienie, aby po krótkim czasie zatonać w kałużu mordu lub morzu zapomnienia, uchodziło to straszne stulecie rzymskich dziejów, zapowiadające upadek największej organizacji politycznej starożytnego świata. I byłoby może już wtedy doszło do ostatecznej katastrofy, gdyby w końcu

wieku nie pojawił się człowiek, który silną wolą stawiał na pewien czas zapory dążeniom, staczającym państwo do upadku i trawiącym jego życie. Po szeregu efemerycznych władców obwołało wojsko wschodnie imperatorem jenerała, który z niższych warstw wyszedł i był synem dalmatyńskiego niewolnika lub wyzwoleńca, a odznaczwszy się w wojsku, teraz pod nazwiskiem Diocletianus w r. 284 wstąpił na tron rzymskich cesarów.

Dotychczas państwo wśród ciągłych uzurpacyj i wskutek swej nadmiernej wielkości, chyliło się do zupełnej anarchii. Aby temu kres położyć, organizuje Dyoklecjan dotychczasowe wielorządztwo, z wyjątku i rewolucyi robi normę, dobiera sobie współrządcę, drugiego *Augustus* i dwóch następców tronu, czyli *Caesares* i pomiędzy nich rozdziela cztery części wielkiego państwa. Zarazem, sztucznie przez dobór osobisty utworzona dynastia ma państwo nadal uchronić przed samowolą uzurpatorów i wojska. Jest to zwycięstwo jednej potężnej osobistości nad wybrykami, a zarazem zwycięstwo podnoszącego się wschodu nad zachodem, — bo Dyoklecjan ubiera nowego monarchę rzymskiego w insygnia, tytuły i ceremoniał wschodnich monarchów, jego władzę wywyższa i zbliża do absolutyzmu. A te dążenia do absolutyzmu prowadzą go z konieczności do walki z żywiołem, który z tą monarchią z łaski bogów pogodzić się nie mógł, z chrześcijaństwem. Nazwisko Dyoklecjana wiązało się też z ostatnim gwałtownym zamachem siły rządowej na nową religię i prześladowanie bezwzględne chrześcian zaciężyło odtąd krwawem znamię na imieniu tego władcy, który zresztą po cieniach swych poprzedników zaznaczył się siłą swej woli, jako wielki wskrzesiciel rządu i porządku w państwie.

To, co budował i na czem budował, skruszyły jednak dzieje lat następnych. Nie według ładu i porządku, przewidzianego i przepisanego przez Dyoklecjana, lecz znów na drodze uzurpacyi zostaje syn Konstancyusza Chlorusa, w r. 306 obwołany Augustem, czyli cesarzem, przez legiony. Sztuczny porządek, określony przez Dyoklecjana, ugina się pod wpły-

wem woli i samowoli osobnika, a sztuczne dziedzictwo ustępuje przed dziedzictwem rodzinnem. Na arenę wstępuje Konstantyn Wielki, który po długich rozmyślnych lub narzuconych mu walkach i starciach z rywalami i współrządcami, w r. 323 zostaje jedynym władcą rzymskiego imperyumu. Osobistość w każdym razie dzielna i pełna energii, a przełomowa i dla dziejów ludzkości dalszych doniosła, jak żadna. Po krwawym prześladowaniu Dyoklecyana wydaje on już w r. 313 sławny edykt tolerancji, zapewniający wolność i poszanowanie religii. Zrobił Konstantyn ten krok z głębi przekonania, że chrześcijaństwu ta wolność się należy i z zupełną samowiedzą, że przy równości praw nowa wiara starych bogów zwycięży. Przesunął więc wielką zwrotnicę dziejów i wytknął koleje dalszym rozwojowi. A z nim wytwarza się dynastia rodowa, która aż do r. 363 panuje nad Rzymem, reprezentowana przez władców czterech. Sam on, w myśl Dyoklecyana, dzieli przed śmiercią państwo między trzech synów, jako *Augusti*. Ale po różnych kolejach ustępuje znów ta trójca miejsca jedynowładcy i najdzielniejszy ze synów, Constantius, jest w r. 353 jedynym znów cesarzem. Ci synowie szli w myśl wielkiego ojca i poszli dalej; jeżeli bowiem ojciec, zapewniając chrześcijaństwu równe prawa, chciał, aby czas przechylił szale zwycięstwa na korzyść nowej wiary, to synowie chcą czasowi pomagać i różnemi edyktami ograniczają kult pogański, zamykają świątynie i znoszą ofiary; następuje bezkrwawy, ale gwałtowny odwet za krwawy ucisk Dyoklecyana. Chrześcijańska więc religia, która wyszła od rybaków, zaczęła od zdobyczy wśród małych, aby od dołu coraz bardziej się szerzyć i sięgać coraz wyżej, wstąpiła teraz na tron i stała się religią panujących i rządu i nieomal panującą. Wydało się jednak niebawem, że to zwycięstwo przemijające.

W r. 361, po śmierci bezdzietnego Konstancyusza, zostaje cesarzem ostatni przedstawiciel dynastji Konstantyna Wielkiego, urodzony z jego brata, Julianus, zwany Apostatą. Młody ten władca w połowie IV wieku zatrzymać chciał dotychczasowy bieg historii, a myślą filozofa, słowem literata

i czynem cesarza, zażegnać pochód i rozwój zwycięzki Chrystusowej wiary. Zanim do skreślenia tego porywu przejdziemy, musimy się na chwilę zwrócić do stanu umysłów i dusz w tej epoce, aby poznać, na czym się oparła i na czym budowała ta ostatnia walka między pogańskim światem a chrześcijaństwem.

II.

Mówiliśmy już, że punkt ciężkości siły materialnej przesunął się w tej epoce z centrum państwa, z Rzymu, nad granice, do obozów wojskowych. W świecie duchowym podobne nastąpiły przesunięcia i zmiany. Od czasu, gdy Rzym w końcu Rzeczypospolitej zajął Azyę Mniejszą, a za Augusta Egipt, stało się państwo rzymskie w połowie orientalnem. Należały do niego bowiem ogromne dziedziny, na których cywilizacya grecka wycisnęła swe piętno i znamię, weszły do niego obok Rzymu wielkie miasta, które były ogniskami hellenistycznej kultury i nauki, jak Antyochia i Aleksandrya. Państwo rzymskie musiało więc wskutek tego stracić dużo ze swego starorzyskiego, rodzimego nastroju, obywatel rzymski uronić wiele ze swego przyrodzonego, właściwego charakteru, a nawet patryotyzmu; zamiast rzymskiej ojczyzny, powstała teraz druga, szersza, helleńsko-rzymska, pojęcie, zamiast ziemi, która jedynie daje silne uczucia, zapamiętała i poświęcenia. Zjawiają się więc ludzie o dwóch językach i dwóch duszach, w których często jednego serca zbrakło, bo one stłumione i zgaszone powiewem mroźnego kosmopolityzmu. Póki jeszcze umysłowość rzymska jest dosyć czerstwą i twórczą, utrzymuje się w tej helleńsko-rzymskiej ojczyźnie jakaśkolwiek równowaga tych dwóch żywiołów. Rzymianin podziwiał spryt Greka, ale czuje się wobec niego panem, spogląda na Greczynka, *Graeculus*, z pewnem uczuciem wyższości i lekceważenia, jak spoglądano niegdyś na Wschodzie na sprytnych *abb's* francuskich. Tymczasem w II wieku po Chrystusie postać rzeczy się zmienia. Rzymska literatura przestaje

wtedy być rodzimą i twórczą, znać w niej pewne wyczerpanie i znużenie. A wtedy też właśnie i po części wskutek tego podnosi znów głowę Grecya, ta Grecya, która dotychczas służyła panu i schylała swój kark przed władcami świata. Jakieś wyraźne poczucie wyższości swej i większej dawności swej kultury dochodzi znów do świadomości Greków; zaczynają się oni uważać za spadkobierców niedoścignionych mistrzów literatury i sztuki staro-attyckiej, za naczynia uświęcone cywilizacyi (*paideia*), której tajemnicę dzierżyli niegdyś i teraz dzierżą. Słowo greckie znów się wyzwala i uskrzydla do światowładnego lotu; budzi się nowa wymowa, zwana sofistyczną, wychwalająca Helladę, jej przeszłość i starożytność, kująca wielkie słowa na drobne czyny teraźniejszości, gotowa na wszelkie usługi nawet wobec Rzymian, którzy upajają się jej pustą chwalbą i jeszcze pustszemi dźwiękami. To słowo greckie, bardzo gadatliwe, ma pewne znamiona starości; ale że pieści uszy i próżność, idzie ono w świat daleki, zdobywa sobie Rzym swoją krasą, ujarzmia sobie dusze, bo ma na sobie zawsze ponętną pleśń wieków, z pod której wydobywać się zdają nowe wiośniane pędy i pąki.

Hellenizacya świata ówczesnego, widoczna w tylu objawach, choćby w samych cesarzach państwa rzymskiego, nadto wymownie się znaczy. Cesarz Hadryan jest z przekonania i uczuć pół-Grekiem, cesarz Marek Aureli ubiera swoje najtajniejsze wyznania, swoją spowiedź publiczną, w szatę grecką, w rodzinie Konstantyna greczyzna tak zapanowała, że ostatni jej spadkobierca Julian już tylko słabo po łacinie umie, myśli zaś, czuje, pisze wyłącznie po grecku. A Rzym, który za republiki był stolicą, ogniskiem, sercem ożywczem państwa, musi teraz w tem wielojęzycznym imperyum, obejmującym tyle miast i ludzi, stoczyć się ze swej wielkości, schodzić coraz bardziej na to stanowisko wdowy opuszczonej, która we dnie i w nocy żałośnie zawodzi, o jakiej śpiewał Dante. Wołała ona na cesarów, którzy o niej zapominali; współrządcy Dyoklecjana i on sam nie rezydują już w Rzymie, lecz w Trewirze, Medyolanie, Sirmium nad granicą Ser-

bii i w Nikomedyi azyatyckiej. Następca ich Konstantyn Wielki, stanowczo detronizuje Rzym, faktycznie już opuszczony i przenosi stolicę państwa do nowo założonego w r. 326 Konstantynopola, bo Rzym nie jest już dosyć centralnem miejscem, bo Wschód jest teraz ważniejszą połową państwa, bo wreszcie przełom chrześcijański na tronie należy uwidocznić nową stolicą, odmienną od tej dawnej, gdzie tyle pamiątek pogaństwa i dawnej, pogańskiej wielkości. To jest zwycięstwo Wschodu nad Zachodem, przejawiające się na tylu dziedzinach i w tylu objawach współczesnych.

Z r. 357 mamy może pierwsze wspomnienia z Rzymu, pierwsze wrażenia, rzeczby można, turysty, podziwiającego pomniki dawnej świetności i chwały, które były już tylko pomnikami. Zwiedzającym był nie kto inny, tylko Constantius, cesarz Rzymian, który w tym roku może po raz pierwszy do dawnej zawitał stolicy.

III.

A Wschód zwycięzki zdobywa sobie równocześnie w tej epoce nadziemskie bogów dziedziny. Nie będziemy tu na razie mówić o najpotężniejszej wierze, która z Galilei na cały świat zapuszczała zagony, ale o szacie i zbroi pogaństwa, którą ono przywdziało na ostatnie i stanowcze zapasy z nowym wrogiem, Chrystusem.

Pogaństwo w chwili urodzenia Chrystusa Pana było w wielkiej części już martwem i strupieszale. Maszynie państwowej udzielały jeszcze stare obrzędy i rytury nieco namaszczenia i uświęcenia, w kołach intelligentnych żyły dawne wierzenia jako poezya i ornament literacki, wśród masy w kształcie zabobonu i przesądów. Ale duszy ludzkiej nie przynosiły one już żadnego pokarmu, ani podniecia. Życie ona mogła stać się okrucieństwem i zapleśniała legendą, póki żadne gorętsze religijne pragnienie nie pojawiło się na świecie, kiedy indyferentyzm i sceptycyzm rozpanoszyły się wszechwładnie. A takie zobojętnienie religijne znaczy się wyraźnie w dwóch wiekach idących po Chrystusie. Gorętsze serca przystawały wtedy do nowej religii chrześcijańskiej, reszta przestawała wśród chłodu dawnych podań, bez pragnień wybiegających w zaświaty, bez potrzeby podniesienia siebie i bliźnich.

Ale w III wieku wśród samego pogaństwa znaczy się jakieś ożywienie wewnętrzne, objawiają się jakieś nowe potrzeby religijne, których dotychczas nie odczuwano. Pod wpływem wielkich nieszczęść, które wtedy raz wraz spadały na państwo i jego mieszkańców, wśród ciągłej rozterki uzurpatorów, wśród zaraz i chorób, które dziesiątkowały całe

provincye cesarstwa, myśl ludzka zaczęła znów błąkać się po zaświatach i u bogów szukać ratunku. Zaświatowość nabrała znaczenia, życie przyszłe wobec teraźniejszości, która tyle niosła goryczy. Wśród wszystkich niepokojów, nieszczęść codziennych, zaczęły rość marzenia i wierzenia o błogości pośmiertnej, która by dała ochłodzenie i osłodę po trudach żywota. Ale jak je sobie zapewnić? W starej religii greckiej i łacińskiej ta przyszłość pogrobową była marną, dusze zmarłych chyba jak cienie drgały jakimś cieniem życia, które nie uśmiechało się żadną rozkoszą. Jedyne pewne tajemnicze kulty zapewniały wtajemniczonym coś lepszego, wyrazistszego po zgonie. A więc w tych tajemnicach, wśród ukrytych obrzędów, postanowiono teraz szukać zbawienia i pociechy. A jeżeli dawni bogowie Olimpu nie dawali zbyt pewnej rękoi, ani przyrzeczeń, dla czegożby się nie udać do bogów Egiptu lub Azyi, których cześć z tysiącami przybyśzów i niewolników napłynęła na Zachód i Rzym zalała. Misterya te wschodnie zaczynają się wtedy szerzyć w sposób nadmierny. Zanim się jednak do nich przypuszczonym zostanie, potrzeba było pewnych ofiar i to nie dotychczasowych, lecz ofiar z własnej osoby, umartwień i ćwiczeń, któreby podnosiły człowieka do większej doskonałości. Potem dopiero można było przestąpić progi świątyni. A jeżeli dawni bogowie Olimpu schodzili na ziemię, aby tu opromieniać pospolitą codzienną, ale się też tą powszedniością pospolitować, to misterya żądały od śmiertelnika, iżby sam raczej podniósł się do wysokości bogów, przez nastrój odpowiedni ducha i ekstazę. Misterya te i kulty popadały dlatego w okultyzm, wprowadziły wywoływania duchów i zaklęcia, sztuki czarnoksiężskie, aby tylko rzucić pomost między światem i zaświatem. A społeczeństwo pogańskie nurzało się w tych wybrykach i obłędach, które zawsze pojawiają się jak wiedźmy przy agoniach starych i przeżytych religij.

Na razie szukano więc w tem słowa otuchy i wyzwolenia. Żaden zaś z tych kultów wschodnich tak się wówczas nie rozszerzył na Zachodzie, jak kult staroperskiego bóstwa, Mithry; Renan kiedyś powiedział, że gdyby chrześcijaństwo

wskutek jakiego przewrotu było się zachwiało naówczas w swym zwyczajnym rozwoju, to świat byłby został mithrastycznym. Bóstwo to staroperskie było na usługach Boga światła i słońca Ormuzda w walce z ciemnościami Ahrimana, wyobrażeniem wszelkiej urodzajności na ziemi, pośrednikiem między światem i zaświatem, przeprowadzającym dusze przez most, wiodący do wieczności. Popularność Mithry w państwie rzymskiem stała się od I wieku przed Chrystusem ogromną. Może z żołnierzami wschodnimi kult ten się szerzył i Mithra został odtąd głównem bóstwem rzymskich legionów. Wszędzie, gdzie one stały, znajdowano szczątki jego kultu, resztki jego świątyń, zarówno na granicach Anglii i Szkocyi, jak nad Renem, Dunajem i Eufratem. Koło Wiednia i w Carnuntum natrafiono na pełno śladów mithracyzmu; a każdy zwiedzający europejskie muzea nieraz się spotkał z rzeźbą młodzieńca, przybranego w płaszcz rozwiany i frygijską czapkę, zatapiającego nóż w gardzieli byka, którego ogon wystrzela wiązką kłosów. Jest to obraz zwycięstwa światła nad ciemnością, dobrego ducha nad złym, gloryfikacya wszystkich błogosławieństw, które z urodzaju na ludzi spływają, a przytem symbol nauczający, iż ze śmiercią życie się nie kończy, lecz następuje dalsze istnienie, ze śmierci poczęte.

Przywyknęto niebawem tego Mithrę zrównywać i identyfikować ze Słońcem, panem życiodajnym świata i źródłem wszystkiego dobrego na ziemi, — bo ostatecznie dla wszelkich wierzeń, które nie przyjmują Boga zaświatowego, oderwanego, ewolucya racjonalna musi się skończyć kultem słońca.

Do czei Mithry garnęły się więc wtedy massy, chociaż żądał on dużo ofiar, umartwień i zaparcia; zanim bowiem było się dopuszczonym do braterstwa i zespolenia w Mithrze, rozmaite próby, czasem bolesne, należało przebyć i przetrzymać. A potem, zupełnie jak w łóżach wolnomularzy, czekały jeszcze różne stopnie braterstwa, na które wtajemniczeni z kolei się posuwali. Był stopień *kruków* najniższy, potem się przechodziło przez stopnie *tajnych*, *żołnierzy*, *lwów*, *Persów*, *gonców słońca*, aż się dosięgło wreszcie szczytu braterstwa,

na którym się znajdowali *ojcowie*. Różne obrzędy gromadziły wiernych w świątyniach Mithry; były więc ablucye, przypominające chrzest, było poświęcanie, spożywanie i rozdawanie chlebów, naśladujące może rozmyślnie Eucharystyę. Wszystko zaś osłonięte było tajemnicą i skrytością i ta ciemność i zamknięcie podnosiły jeszcze urok słonecznych i promiennych obietnic zagrobowych, które zapewniały „braciom” szczęście pośmiertne. Mamy więc tu gminę wiernych, stowarzyszenie czy lożę zspoloną jedną wiarą i jednym kultem, dążącą do tego, aby doskonaleniem się i próbami zaskarbić sobie i zapewnić szczęście w przyszłości. Przeciwnieństwo między złem i dobrem, które było osią religii staroperskiej, pozostało i tu istotnym fundamentem religii, umacniało ono wolę indywiduów na walkę i zapasy z występkiem i zepsuciem; moralność ta dawała pewną siłę i energię i zapewniała tej religii znaczenie i wartość życiową.

A jeżeli z początku ta religia Mithry szerzyła się tylko wśród maluczkich, mianowicie żołnierzy po granicach rzymskiego imperyum, to niebawem znalazła ona dźwignię, która ją podniosła i otworzyła jej wrota pałaców i dworów. Ostatni system filozoficzny, który wydała starożytność, neoplatonizm, zawarł ścisły sojusz i związek z mithracyzmem, bo upatrzył w nim dobre narzędzie do zwalczania chrześcijaństwa, bo zresztą sam płużył sobie we wszystkich wyskokach i dziwach, któremi Wschód wtedy zalał rzymskie imperyum. Filozofia ta była ówczesną religią uczonych, a wcieliła ona do swego systemu pospolite wierzenia, osłaniając je płaszczem na pół filozoficznym. Wszystko na świecie jest według tej nauki emanacją, wypływem jakiegoś absolutnego bóstwa, między bóstwem tem a człowiekiem jest cała skala pośrednich istot, demonów, w których poganin odnajdywał dawnych swych bogów; człowiek może się do źródła swego boskiego zbliżyć, nie tylko i nie tyle przez miłość, jak tego uczy chrześcijaństwo, lecz przez ekstazę, przez magię i rozmaite zaklęcia, których uczyły i których tajemnice posiadały właśnie misterya. Filozofia grecka stała się więc w epoce, w której prze-

różne bóstwa napłynęły na Zachód, aby stoczyć walkę o ludzkość i ze sobą się zmierzyć, przeważnie religijną, chciała ona dawną religię odświeżyć, uzbroić na te zapasy, wlać w nią ducha nowego. Sama piękność Homera już nie wystarczała; trzeba było ją zespolić z ideą dobrego, naprzód oczyścić bogów, aby oni mogli oczyszczająco działać na ludzi. Tego się podjęła filozofia neoplatońska; idzie ona za prądem epoki, odczuwającej głęboko potrzebę moralności. Sięga najwyższych szczytów doskonałości, posuwa się do najwyższych zaparć i askezy. Ale sięga zbyt wysoko i tylko wysoko, przemawia do wybrańców, a zapomina zbyt często o warunkach powszedniego życia i duszach powszednich, o których pamiętał Ten, który przemawiał do tłumów, współczuł z nimi i dał dla nich i za nich swe życie.

Filozofia ta racjonalizowała i tłumaczyła allegorycznie dawną mitologię, aby ją ratować, robiła więc z mitologii filozofię, a zarazem wrota swe własne otworzyła na oścież dla rozmaitych zabobonów, gusł, naleciałości oryentalnych, aby filozofię przetworzyć w religię. Sztuką myśli starała się oświecić i stworzyć obraz wszechświata i bóstwa, a potem, aby człowiek do tego bóstwa mógł się zbliżyć, zezwalała na łamane sztuki bezmyśli i czarnoksięstwa. Małżeństwo to epigonów Platona, najwyższego wykwit myśli i poezji zachodniej z wybujałą fantasmagorią wschodu, małżeństwo niedobre, sklezione pod grozą trzeciego, który walczy pod znakiem krzyża i krzyżem żałęcnym złe duchy.

Zszeregowała więc ta filozofia w innym przebraniu raz jeszcze wszystkich dawnych bogów, aby pod wspólnym hasłem uderzyły na nowego Boga, wylaniającego się z Galilei, otoczyła się wszystkimi czarami magii, astrologii, byleby człowiekowi ułatwić zbliżenie się do bóstwa, zmobilizowała wszystkich mieszkańców Olimpu i wszystkie bóstwa oryentalne i wcielila je do swoich kadrów. Ostatnie to pospolite ruszenie pogańskich bogów przeciw Chrystusowi. Z mithracyzmem łączył neoplatoników kult dla słońca, które i oni uważali jako obraz i odbicie najwyższego bóstwa, a czasem identyfikowali z nim zupełnie.

Podala więc Mithrze rękę filozofia, a prócz tego podali władcy świata, sami cesarze. Kult Mithry mógł bowiem walnie oddać cesarskiej władzy usługi w jej oryentalizowaniu się, w dążeniu do absolutyzmu. Jak słońce na niebie, tak i cesarz na ziemi chciał samowładnie panować; i zaczęło się przyjmować przekonanie, że cesarze są ziemskim wypływem tego słońca, jego wcieleniem na ziemi. Dlatego już Commodus, jeden z najwcześniejszych przedstawicieli szalu cezarów, zostaje mithracystą, a potem w III wieku kult ten słońca coraz większe znajduje u władców Rzymu i świata uznanie. W r. 273 zarządza Aurelian oficjalny kult *Solis invicti*, niezwycięzonego słońca, a w r. 307 Dyoklecyan i jego współrządcy poświęcają w Carnuntum pod Wiedniem świątynię Mithrze „popiecznikowi swej władzy“.

Wszystko to przyczyniło się więc do utwierdzenia kultu Mithry w III i IV wieku naszej ery. Stały wtedy naprzeciw siebie dwie potężne religie, liczące całe masy wyznawców, kult słońca i nauka Chrystusa. Wiele rysów podobnych je łączyło. Adepti Mithry, podobnie jak wyznawcy Chrystusa, nazywali się braćmi, jedni i drudzy oczyszczali się chrztem, jedni i drudzy spożywaniem świętego chleba umacniali się na walkę ze złem tego świata; jedni wreszcie i drudzy uważali to życie za wstęp i przygotowanie do przyszłej szczęśliwości. Musiało tu przyjść do tarć i starcia, którego jednym a ciekawym rysem jest to, że Kościół w IV wieku na dzień 25 grudnia ustanowił święto Bożego Narodzenia, ten sam dzień, w którym mithryaści obchodzili uroczyste przyjście na świat swego bohatera i boga. Ale oczywiście walka, choć uciążliwa, musiała się zakończyć zwycięstwem jasných prawd Chrystusowych nad tym kultem słońca, który budził porywy i zapaly ekstatyczne, otaczał się wszystkimi czarami magii i astrologii, poetyzował i rozmarzał, ale nie dawał tego światła i ciepła i prostoty na rozświecanie i prostowanie dróg ludzkich i rozgrzanie duszy, jakie dawały słowa Chrystusa. Wszystkie promienie słońca nie przygasiły też gwiazdy, prowadzącej ludzkość do Betleem.

Panowanie Konstantyna Wielkiego i jego synów rozwiało nadzieje czcicieli słońca, że świat posiedzą. Niebawem

jednak miała się rozegrać ostatnia walka między słońcem a Chrystusem pod wodzą członka tejże samej Konstantyna rodziny, który zostawszy cesarzem rzymskim, jeszcze raz zamierzył, jako król-słońce na ziemi jednego tylko uznać Pana na niebiosach i ze słońcem poszedł na Chrystusa; Mithra i filozofia neoplatońska zasiadły z nim na tronie, te dwa systemy, dążące niby do jednego bóstwa, ale uznające politeizm dawny, którego bogowie schodzą w ostatecznych zapasach do roli szeregowców, towarzyszków, rzeczy można ciurów niezwyciężonego słońca. Mitologia, która tu walczy, przybraną jest w orientalną szatę; od tego samego Oryentu siedł wróg, który ją miał powalić.

Chrystus nie startł się z pięknościami Grecyi, z bogami Homera, lecz z dziwólągami zabobonu i wyuzdanej wschodniej wyobraźni. I cud Chrystusowy odniósł zwycięstwo nad cudactwem.

IV.

Julian, późniejszy cesarz, urodził się w Konstantynopolu w r. 331, z ojca Juliusa Constantiusa, brata Konstantyna Wielkiego i Basiliny, pochodzącej może z rodu Cejoniuszów. Konstantyn Wielki, podzieliwszy państwo między trzech swoich synów, umarł w r. 337. Wschód otrzymał najdzielniejszy wśród nich, Constantius, który w r. 353, po zniknięciu z widowni braci, został jedynym rzymskim cesarzem.

Dzieje Juliana wiązały się od początku z losami tego Constantiusa, a stosunek ten nie był przyjaznym, aż się w końcu do otwartego przeciwieństwa zaognił. Pierwsze zarzewia nieufności i niechęci padły już w r. 337 w duszę sześćioletniego wtedy Juliana. Wkrótce bowiem po śmierci i pogrzebie Konstantyna Wielkiego w Konstantynopolu, przyszło do jakiegoś niepokoju wśród wojska, które się rzuciło na rozmaitych krewnych zmarłego cesarza i kilku z nich wymordowało. W rzezi tej zginął ojciec Juliana i inni członkowie jego rodziny. Kto wojsko podburzył, było niewiadomem; ale Julian nieraz potem wyrażał przypuszczenie, że Constantius armię poszczuł na krewnych, aby tym aktem sultanizmu pozbyć się niewygodnych i niebezpiecznych pretendentów i rywali. Ta plama krwi zasępila dziecięce Juliana lata i ciążyła odtąd swem znamieniem i brzemieniem na stosunku obydwóch kuzynów. Julian i brat jego starszy, Gallus, tylko szczególnym okolicznościom zawdzięczali ratunek wśród ogólnej pożogi.

Wschód, który przy podziale państwa Constantiusowi przypadł w udziale, był już niewątpliwie przeważnie chrze-

dobne barwy; a przecież śmierć Greka była wielkim krokiem naprzód w dziejach i rozwoju ludzkości, zwycięstwem nowych pojęć i światów — zgon Juliana był tymczasem tylko epizodem w wielkim odwrócie bogów pogańskich, cofających się w mroki niebytu i zapomnienia.

Rzucono podejrzenie, czy oszczep śmiertelności nie wybiegł z ręki chrześcianina; późniejszy historyk kładł Julianowi w usta przedzgonny okrzyk: „Zwyciężyłeś Galilejczyku!” I jedno i drugie jest zapewne legendą. Ale to pewnem, że Galilejczyk zwyciężył, że ze śmiercią tą zgasł prawie ostatni promień, srebrzący i pieszczący wierzchołki Olimpu. W Nisibis, mieście Mezopotamii, spotkał się z ciałem Juliana syryjski asceta i kaznodzieja, św. Ephraem, i widok ten natchnął go do hymnów, sławiących tryumf Chrystusa. „Otóż jest ten — śpiewał on — który wstał przeciw Twemu imieniu, a zapomniał, że prochem jest. I Bóg stał go na proch, by poznał, że jest próchnem“. Ciało odwieziono do Tarsus; patrzyło na ten żałobny pochód z góry zaćmione słońce Mithry, a bogowie Homera mogli byli zapłakać nad nim i nad sobą. Historya, która lubi antytezy dramatyczniejsze od wszelkiej literatury, postawiła trumnę Juliana w Tarsus w Cylicyi, obok kolebki największego siewcy Chrystusowego, wielkiego Apostoła narodów, św. Pawła.

